ORLĘTA



Mal. St. Tondos — Św. Stanisław na Skałce w Krakowie.

№ 4. Ilustrowany dwutygodnik dla młodzieży Rok I.

Cena egz. 25 gr.

TO i OWO

„Człowiek nato stworzony, aby urósł na wielkiego“

A. Mickiewicz.

W PARU WIERSZACH.

Z wiosennym powiewem ciepła, w blaskach złotych promieni słońca, rozkwitła nasza ziemia tysiącem przecudnych barw i zieleni. Pęki kwiatów rozlały w przestrzeń rozkoszną woń, która napełniła radością każde młode życie, a najwięcej serca polskie, bo znów witamy ukochany *3 Maj*— dzień najpiękniejszego święta na świecie, bo dzień wyzwolenia Ducha Narodu z ciemności i niemocy. Święto 3 Maja jest dla nas najmilszem i najdroższem i czcimy je prawdziwie po polsku, najpiękniejszym zwyczajem, bo oszczędnością i składaniem drobnych datków na *Dar Narodowy*. Pragniemy tylko, by ten zwyczaj stał się powszechnym, by każdy Polak, każde dziecię mogło go spełniać bez zbytniego poświęcenia i bez żadnej straty dla siebie. Widzimy wiele biedy wśród ludzi i sami ciągle narzekamy na brak pieniędzy, a jednak na niepotrzebne i szkodliwe rzeczy wyrzucamy ogromny majątek. W ubiegłym roku to jest 1926 ludność Polski wypiła trunków alkoholowych za 800 miljonów zł. Tak wielką sumę pieniędzy wyrzuciliśmy lekkomyślnie i marnie, żeby truć własne organizmy, niszczyć zdrowie i odbierać sobie chęć do twórczej i radosnej pracy, bez której kraj nasz ubożeje. Pomyślmy jaki to byłby piękny *Dar Narodowy*, gdyby te pieniądze zostały zaoszczędzone; ile moglibyśmy okrętów kupić, ile dróg kolejowych wybudować przy których rzesze ludzi znalazłoby pracę i niejedna łza zostałaby obtarta.

Przez pamięć dla wielkich ojców, twórców Konstytucji 3 Maja nie wolno nam wydawać ani grosza nietylko na alkohol, ale na łakocie i różne niepotrzebne przyjemnostki, które czynią nas żebrakami. Pamiętajmy, że najchwalebniejszym *Darem Narodowym* będzie oszczędność i trzeźwość całego narodu. Zostańmy od wczesnych wiosen naszego życia aż na zawsze trzeźwi i oszczędni, a uczynimy najmilszy, królewski dar — Ojczyźnie.

Z NASZEGO MORZA.

Z braku dostatecznej, własnej floty handlowej Polska zmuszona jest wynajmować obce statki do przewożenia towarów sprowadzanych lub wywożonych zagranicę. Za przewóz tych towarów Polska płaci corocznie około 200 — 300 miljonów zł. Jest to bardzo poważna strata, która powinna nas zachęcać do większego zainteresowania się morzem oraz do wysiłków nad budowaniem potężnej, polskiej floty.

*

W Gdyni zawiązał się komitet urządzenia domu-ogniska dla marynarzy polskich okrętów handlowych. Społeczeństwo tamtejsze pragnie, marynarzom okrętów zawijających do ojczystego portu, dać serdeczny i ciepły kąt, w którym mogliby po trudach podróży, chwilę wypocząć. Całe społeczeństwo polskie powinno okazać jak najwięcej przychylności odważnym żeglarzom, którzy polską barwę śmiało niosą w świat.

POLACY NA OBCZYŹNIE.

W Rumunji, w okręgu galackim wyróżniają się trzy miasta, w których przebywa znaczniejsza liczba obywateli polskich, a to: Galac, Braila i Jassy.

Łącznie z wychodztwem liczba Polaków wynosi około 4000 osób.

Na terenie okręgu istniała do końca 1922 r. mała szkółka, w Negulesti przy tamtejszej fabryce szkła. Do szkółki tej uczęszczało około 60 dzieci obojga płci. Nauka odbywała się trzy razy dziennie: przed południem i po południu dla dzieci, a wieczorem dla dorosłych.

Stosunek władz rumuńskich do naszego wychodztwa, naogół biorąc, jest dość poprawny, co w głównej mierze zawdzięczać należy politycznym stosunkom, łączącym Polskę z Rumunją.

Z LOTNICTWA.

W ostatnich tygodniach Zakłady Junkersa wykończyły nowy typ samolotu komunikacyjnego. Samolot ten o nazwie „G 31“ sporządzony cały z metalu jest jednopłatowcem o olbrzymich rozmiarach. Rozpiętość skrzydeł wynosi 30 metr. długość 14, wysokość 4,3 mtr. Samolot posiada 3 silniki 6-cio cylindrowe po 350 Mk. każdy. Poza środkowym silnikiem znajdują się dwa siedzenia dla pilotów, poza niemi zaś kajuta maszyn z urządzeniem radjowem, sygnalizacyjnem i t. d. stamtąd prowadzą drzwi do kajuty pasażerskiej, posiadającej 2 metr. długości, podzielonej na 3 oddziały (dla palących, niepalących i kobiet). Kajuta pasażerska posiada 25 miejsc siedzących, które można zamieniać w 10 wygodnych łóżek. Za kajutą pasażerską mieści się umywalnia, obok zaś biegną kajuty dla bagażu podróżnego, poczty i towarów. Między kajutą pasażerską a towarową umieszczono w oddzielnym korytarzu przewody do sterów, które dzięki temu mogą być łatwo kontrolowane. Próbne loty wydały pomyślne rezultaty i fabryka buduje obecnie drugi podobny kolos powietrzny.

NOWINY SPORTOWE.

We środę 20. IV. odbyły się w Rzymie międzynarodowe zawody lekkoatletyczne między reprezentacjami Włoch i Polski. Polski Związek Lekkoatletyczny wysłał najlepszych zawodników. W ogólności zawody te zakończyły się przegraną Polski. Drugie zawody polskiej drużyny we Florencji przyniosły nam zdecydowane zwycięstwo. Przyjęcie polskich zawodników przez Związek Włoski było nader serdeczne i życzliwe.

*

W niedzielę 24. IV. r. b. zmierzyła się polska drużyna szermiercza z takąż drużyną czeską w Pradze. Czesi znani są w całym mieście jako dobrzy szermierze, dlatego też sukces drużyny polskiej nabiera wielkiego znaczenia.

*

I. V. 1927 odbędą się w Bytomiu reprezentacyjne zawody w piłce nożnej między wybrańcami Górnego Śląska, a najlepszymi piłkarzami niemieckimi ze Śląska będącego pod zaborem. Polska drużyna składa się z graczy klubów nie-ligowych, ale za to z samych Polaków i będzie musiała dołożyć wielkich starań, aby za wszelką cenę wywalczyć Polsce zwycięstwo. A my wierzymy, iż godnie będą bronili polskich barw, przynosząc tem otuchę braciom z za kordonu.

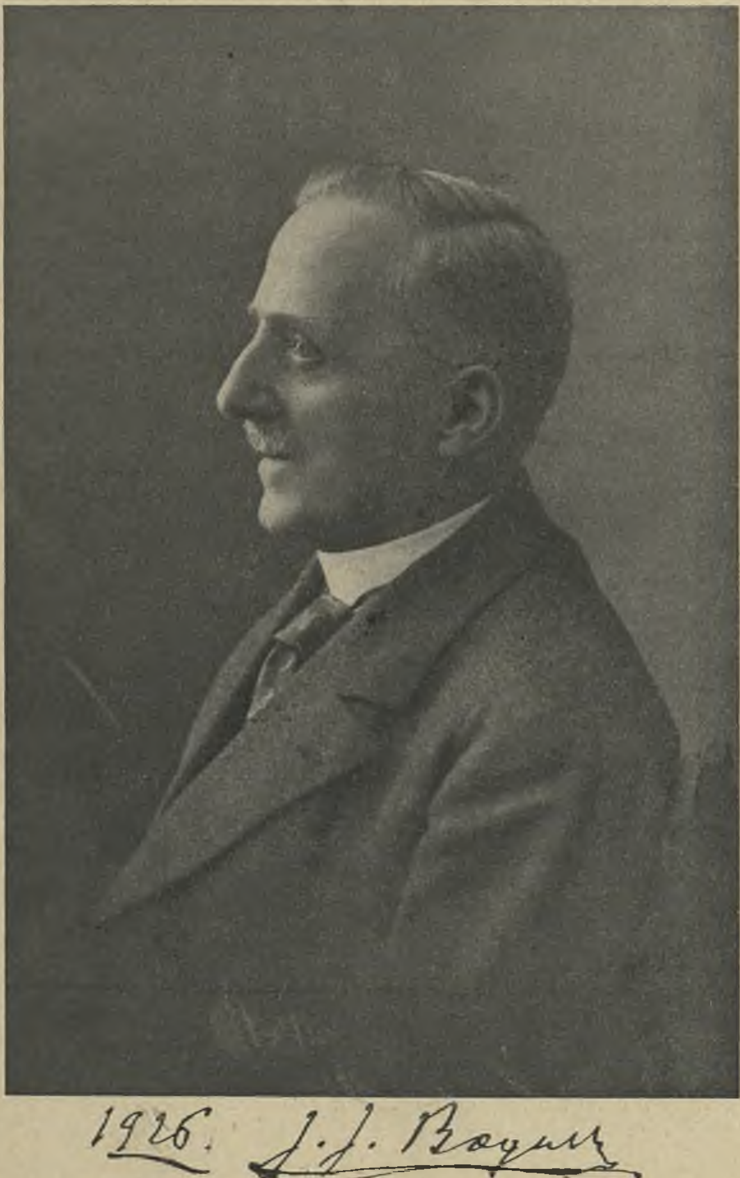
Dwutygodnik ilustrowany

ORLĘTA

dla młodzieży polskiej

NUMER 4. ▣ KATOWICE, DN. 1-GO MAJA 1927 R. ▣ ROK I.

Strzeżcie się grzechu narzekania i wątpienia.
A. Mickiewicz



Prof. Józef Jerzy Boguski

Dr. WŁADYSŁAW NATANSON
Prof. Uniw. Jagiell.

Prof. J. J. BOGUSKIEMU W ROKU ZŁOTYCH JEGO Z NAUKĄ GODÓW.

Gdy biorę w tej chwili pióro do ręki, myśl cofa się mimowoli o blisko pół wieku, czarodziejska moc wspomnień, jedynej rozrywki starości, przenosi mnie do rodzinnej Warszawy, do jesiennych dni roku 1879-go; pamiętam i nieomal przyglądać się mogę, jak porą wieczorną, w gimnazjalnym mundurku, biegłem ulicą Miodową ku placowi Krasińskich, biegłem zgadując, co dzisiaj usłyszę, wyobrażając sobie doświadczenia, które dziś wykonane zostaną. Przy placu Krasińskich, w jakowemś niegdyś zapewne pańskiem mieszkaniu, mieściło się Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, od niedawna wówczas w Warszawie istniejące; pod egidą tej Instytucji, kilku zacnych i rozumnych ludzi, kryjąc starannie cele swe prawdziwe przed podejrzliwym wzrokiem rosyjskiego dozorcy, usiłowało szerzyć wiedzę w społeczeństwie, krzewić w niem obyczaj, budzić i krzepić w niem ducha. W jesieni 1879-go roku toczyły się w Muzeum dwa naprzemian biegnące, dwa równoległe wykłady fizyki popularnej. Jednemu kursowi przewodniczył Eugenjusz Dziewulski, mówca już wówczas wytrawny, nauczyciel już doświadczony; ofiarowywał słuchaczom pracę wykończoną, wytworną. Drugim prelegentem był człowiek wówczas bardzo jeszcze młody; jego oblicze ruchliwe i pociągające, jego głos miły, jego bystre i przenikliwe spojrzenie, jego mowa wartka i pełna zapału musiały zjednać uwagę i sympatję każdego słuchacza. Tym drugim nauczycielem publicznym był zacny i drogi Jubilat, któremu pragniemy okazać dzisiaj słuszną wdzięczność i cześć zasłużoną; był nim profesor Józef Jerzy Boguski.

Biegłem ochoczo na wykłady prof. J. J. Boguskiego; biegłem rozradowany młodością, budzącą się falą myśli szczęśliwy, przepełniony uczuciem najlepszem dla nauczyciela. Do dziś dnia mam w pamięci nieokiełznany Jego pęd naprzód, impet, który rozsadzał konwencjonalny zakres i ustrój popularnego wykładu. Jakim Go wówczas poznałem, pozostał nazawsze. Zawsze rwał ramy, nie cenił systematów ani systematyczności, rozsypywał przebłyski nagłe, akcenty niecierpliwe, popadał w uskoki nieoczekiwane i boczne lecz bujne i hojne, lecz świeże i szczere; zachęcał, zaciekawiał, zagrzewał wiarą w moc ducha ludzkiego, budził cześć dla wysiłku pokoleń i natchnienia genjuszu, entuzjazmem porywał, serca w górę podnosił, przywiązanie jednał Sobie trwałe i czyste.

Nauczajcie miłości i wiary, wy, którzy uczycie! Uczcie czci prawdy, miłości wyższych upragnień, wiary w moc pracy i woli! Nieszczęsny, kto w młodości nie napotkał szlachetnego umysłu na drodze żywota; niegodny szczęścia, kto nie zadrżał pod tchnieniem z ponad ziemi idącem.

Przeskakuję ośm lat mgłą zasnutej przeszłości; odnajduję w pamięci obraz starej, zatęchłej rudery, oficynki, stojącej w podwórzu przy ulicy Krakowskiego Przedmieścia; tam, w przyziemnem, nieomal piwnicznem pięterku mieściła się Pracownia Fizyczna Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, w ciągu lat 1886—87 utworzona. Wąski korytarzyk biegł wzdłuż trzech ciasnych, ciemnych, wilgotnych pokoików; w kilku szafach, na paru stołach znajdowało się trochę narzędzi, nieco wcale dobrych przyrządów. Ubogie owe izdebki stokroć były mi milsze niż zagraniczne pałace nauki; zawierała się w nich nasza własna, polska naukowa pracownia; ognisk naszej pracy badawczej było wówczas w Warszawie, niestety, tak mało! Kierownikiem i przodownikiem tej pracowni, jej opiekunem, sprężyną i duszą był profesor J. J. Boguski. Znowu tam uczył, w krainę poszukiwania prowadził, znów dopomagał, życzliwy szczerym chęciom, wyrozumiały dla niedoświadczenia, dla wszystkich dobry, serdeczny, poczciwy; znowu tam siew rzucał szlachetny, odwodząc od przygnębienia, dźwigając nadzieją, krzepiąc przyjaźnią, otwierając duszę gorącą, podniosłą.

Okazujmy młodym życzliwość! Wyciągajmy dłoń pomocną za nami idącym! Wiedza jest tak rozległa, nauka najeżona tylu przeciwnościami. Błąd taki łatwy, cel wysiłku zawsze daleki i mglisty. Tak

śliskie są pierwsze kroki młodości, chwiejne, niezaprawione, wpółwłasne. Przyszłość taka nieprzenikniona, niejednokrotnie, zda się, ponura. Siły ludzkie takie mdłe i zawodne, życie tak łatwo popada w niedolę. Szlachetne dusze bywają lękliwe, ku sobie nieufne, obawiają się niekiedy przesadnie grzechu natarczywości i śmiesznego zarozumienia. Czyste dusze bywają zamknięte, zarazem nieśmiałe i dumne, względem siebie okrutne, wobec ludzi wyniosłe. Ileż radości wyrządzić możemy słowem przyjaznem, jak wiele dobrego sprawia nieraz drobny, ale serdeczny popostępek.

Od lat czterdziestu wolno mi jest cieszyć się przyjaźnią i zaufaniem badacza, nauczyciela, pracownika i obywatela, któremu tutaj kilka słów, zbyt słabych i zbyt dorywczych, poświęcam. Od czterdziestu lat wiem, jak mocno wierzy Boguski w posłannictwo nauki, jak czci mądrość i zdolność, jak wielbi w duszy triumfy intelektualnego mozołu. „*Lepsza jest mądrość niźli siły*“ powiedziano jest w Piśmie Świętem; „*słuchaycież przeto królowie y rozumieycie a nauczcie się sędziowie kończyn ziemie; nadstawcie uszu, którzy władniecie ludem, y podobacie się sobie*“,

Profesor J. J. Boguski pięknie zasilił naukę powszechną; szczodrze wzbogacił polską oświatę i wiedzę. Dzisiaj służy, z młodzieńczym zapałem, dobru Wojska Polskiego, tej rękojmi, osłonie i tarczy naszego państwowego istnienia. Od lat przeszło czterdziestu widzę, pojmuję, odczuwam, jak gorąco ukochał najlepszą myśl polską, pierwiastki w niej najszlachetniejsze, dążenia najczystsze; jak polskiej służbie, dla Polski, trud i znój życia rodośnie poświęca.



Krajobraz poleski

H. ROMER

TRZECI MAJ JÓZEFOWEJ.

Było to w Wilnie za okupacji niemieckiej, w roku 1916. W Warszawie na dzień 3-go Maja urządzono olbrzymi pochód Narodowy. Tłumy niezmierzone szły ulicami, pierwszy raz od bardzo wielu lat. Bo rząd rosyjski nietylko nie pozwalał dnia tego obchodzić, ale puszczał kozaków na młodzież śpiewającą pieśni narodowe i ci dzicy ludzie siekli nahajami kogo dopadli. A teraz Niemcy jakoś nie sprzeciwiali się temu obchodowi i Warszawa dumnie i hardo o wolności swojej dnia tego śpiewała, jak przystało stolicy Polski. Niezmierne tłumy ludzi szły w piękny, słoneczny dzień przez całe miasto, pochodem dostojnym i pełnym powagi. Szły delegacje wszystkich stowarzyszeń. Szły szkoły, szli żydzi, sunęły wolno grupy z ziem Rzeczypospolitej, barwne wielkie sztandary łopotały nad głowami idących i sztandar Wielkiego Księstwa Litewskiego płynął z innemi po ulicach stolicy Polski.



Orzeł ze srebra wykuty w kaplicy Zygmuntowskiej.

Wielu ludzi płakało. Starzy powtarzali: „doczekaliśmy“ i wierzyć oczom swoim nie chcieli, młodzi śmiali się dumnie i mówili: „to nie taki pochód, będzie jeszcze lepszy, jak my zdobędziemy wolność Ojczyzny, jak żadnego wroga tu nie będzie“.

I śpiewali wszyscy pieśni stare, te, za które Rosjanie katowali młodzież naszą i te nowe co przyleciały od Krakowa, z któremi mieli iść, mieli walczyć o wolność, jak ojcowie i dziady. Ludziom się zdawało, że zaczynają się dziać wielkie cuda.



Orzeł z nagrobka Wład. Jagiełły.

Ale w Wilnie było inaczej. Tak jak Rosjanie, tak i Niemcy nie chcieli dopuścić do żadnej łączności, do żadnego braterstwa między Litwą i Polską, między Wilnem a Warszawą. A właśnie ten dzień wszystkim przypominał, że oba te kraje, obie te stolice były przez 500 lat, jak dwie kochające się siostry, co się razem radują i razem smucą, wspomagają się w biedzie i triumfują w zwycięstwie. I teraz ludność Wilna chciała, żeby tak było. Ale cóż miała robić, kiedy ten nowy wróg był też silniejszy od nas? Wilnianie są wytrzymali i cierpliwi, dużo umieją znieść w cichości, awantur nie wyprawiają, ale swojego nie zapominają. Co my tutaj raz pokochamy — to na w i e k i. Kochaliśmy Polskę w Litwie od wieków i tego żadne wrogi, żadni źli ludzie nie sprawią, żeby miało być inaczej.

Więc kiedy Niemcy kazali, żeby kościoły w ten dzień były zamknięte i, broń Boże, żadnych nabożeństw, ani śpiewów nie było, rozeszliśmy się do domów. Śmieliśmy się! Tak dobrze wiedzieliśmy, że te głupie zakazy nic nam nie zaszkodzą. Im więcej kto jest prześladowany, za swoją miłość do Ojczyzny, do swego języka, czy wiary, tem goręcej i wierniej je kocha.

Tak z nami było od 125 lat. A teraz wiedzieliśmy wszyscy, że zbliża się godzina wyzwolenia, że przepowiadana przez naszych poetów i proroków: Wielka wojna ludów, wyzwoli Polskę i Litwę.

Ale cóż mieliśmy robić w ten dzień 3-go Maja



Pogoń z nagrobka Wład. Jagiełły.

1916 roku. Były różne odczyty w mieście o Konstytucji, były wieczorki deklamacyjne, a na ulicach sprzedawało się na oświatę polską nalepki na okna, czerwone z Białym Orłem w środku.

Przychodzimy z temi obrazkami do jednej wielkiej kamienicy, która na trzy ulice wychodziła. Ale właściciel ani słyszeć nie chce o nalepkach. Boi się „Niemcy“, powiada „przyczepią się: kary każą płacić, do obozu jeńców wywiozą, zaaresztują“. Nie, to nie, gwałtem nic niczego nie nauczył drugiego. Wychodzimy stamtąd trochę smutni, aż tu stróżówka tej kamienicy, Józefowa, wdowa z małemi dziećmi, mieszkająca w wilgotnej suterynie, podbiega do nas i do nóg się rzuca.

„Ach, panieneczki moje, dajcie mnie taki obrazek polski, niech ja na swoich niskich okienkach nakleję, niech widzą, że i ja Polskę kocham i chcę żeby tu do nas przyszła.

„A jak Niemcy zaczną dręczyć za to, każą karę płacić, łajać?“ — ostrzegamy. „Niechaj sobie“ powiada Józefoweczka, „nie zjedzą“, a pokrzyczą, czy szturchną, to co? Dla Polski kochanej nie szkoda cierpieć“.

„Moja droga Józefowo, cierpiałaś ty od ruskich za to, że dzieci do tajnej polskiej szkółki posyłałaś, a teraz do Niemców“ ..

„ Aj, to nie, panieneczko moja, nie bójś, i ten wyjdzie i co powiem, obaczysz jeden drugiego tak daleko przegna, że żaden tu nie wróci.“ Niechże Bóg da, by twoje słowa się sprawdziły.“

Dałyśmy jej nalepek ile chciała, i przez cały dzień chodziła sobie nasza Józefoweczka koło swej suteryny, spoglądając z dumą na okienka świecące Białym Orłem, a nad niemi puste i nudne brzydko wyglądały okna tchórzliwego właściciela kamienicy.



Co to jest? („Konkurs Literacki“.)

MARJA GERSON-DĄBROWSKA

ZACISZNE WNĘTRZA.

Mamy tu przed sobą dwa obrazy, dwa zaciszne wnętrza. Kto je malował —nie wiem, zresztą wszystko jedno. Postaramy się i tak odczytać je razem, czytelnicy.

Więc najprzód w obydwóch jak dobrze widać głąb, przestrzeń, zdaje się, że moglibyśmy tam wejść i zasiąść na fotelach. Jak ładnie i prawdziwie wlewa się przez okna światło dnia, jak błyszczy posadzka, jak w mrokach toną dalsze części pokoi. Dobry rysownik i dobry malarz stworzył te dwa obrazy.

A teraz czytajmy dalej. Czy do jednej i tej samej epoki należą oba wnętrza? O nie, bynajmniej! — Oto sufit pokryty ozdobnem belkowaniem, złożonem w kwadraty, oto okno osadzone głęboko w grubych murach, a wysoko, że aż po schodkach spinać się do niego trzeba. Drobne szybki w oknach, prosty, ciężki stół, jakieś dziwne z wysoką poręczą krzesło. To nie pokój, to jakaś komnata w pałacu lub zamku z przed jakichś trzystu laty i gdybyśmy na tem tle chcieli jakąś postać umieścić byłaby to może jakaś kasztelanka haftująca w krosnach deseń złotolity, może rycerz w zbroi, może złotowłose pacholę w barwnych szatach.

A drugi obrazek? O takie wnętrza znamy wszyscy. Fortepian, bilard, okno o dużych szybach, fotele wyściełane. To



już wnętrze z przed lat kilkudziesięciu, a może i dzisiejsze nawet, gdzieś z wiejskiego dworu lub małego miasteczka, gdzie niema jeszcze elektryczności, tylko kandelabr na stole ze świecami, zapalonemi gdy goście przyjdą wieczorem.



Takie żywe wnętrza i całą historję, można sobie z nich wysnuć, wyczarować o tych, którzy je kiedyś zamieszkiwali. To się nazywa — mową martwych przedmiotów.

Pomiędzy polskimi malarzami dawniejszych czasów mieliśmy dwóch takich czarodziei, a byli nimi — Marcin Załeski urodzony w roku 1796 i młodszy od niego Aleksander Gryglewski ur. w r. 1833.

— Pozostało po nich mnóstwo obrazów, wnętrz kościelnych, gdzie zdaje się, że czuć jeszcze zapach kadzidła, że słychać szmer cichej modlitwy; salonów, buduarów, gdzie zdaje się, iż nie umilkł jeszcze szelest szerokiego ubioru pudrowanej damy, że jeszcze chwieją się wyzłacane drzwi—poruszone ręką wąsatego kontuszowca. O jednym z obrazów Gryglewskiego przedstawiającym wnętrze jednej z sal wilanowskiego pałacu, tak pisze znany krytyk sztuki: „w powietrzu jakby drgały z przed dwu wieków słabe brzęki karabeli Jana III po posadzce stukającej i odgłos jego ciężkiego, potężnego kroku“.

Z późniejszych artystów jakże cudnie wnętrza maluje Aleksander Gierymski, a z obecnych Żukowski, którego wystawę niedawno oglądaliśmy w Warszawie.

Wszyscy oni umieli odszukać żywą duszę, w martwych pozornie formach.

EDWARD KŁONIECKI

MAJ!...

Hej! a toć to ci już wiosna!
i kwiecisty maj
porozstawiał barwne krosna —
i rozbrzmiewa pieśń radosna
śród zielonych staj
dokoła
śród zielonych staj!...

Kędy spojrzysz, w każdej stronie,
jak szeroki świat —
każdy sadek w bieli tonie!
i wydycha słodkie wonie
każdziusieńki kwiat
w opłotkach,
każdziusieńki kwiat!...

HELENA WITKOWSKA

KALENDARZYK INSTYTUTU NAUKOWEJ ORGANIZACJI NA R. 1927.

W 1925 roku powstał w Warszawie Instytut Naukowej Organizacji. Na czele jego stoi profesor politechniki, Karol Adamiecki, który na wiele lat przed amerykańskim Taylorem, w pismach swych głosił zasady, znane dziś w całym świecie pod nazwą Tayloryzmu, a zdążające do podniesienia wydajności pracy i usuwania marnotrawstwa środków wytwórczych we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego.

Instytut wydał na rok 1927 ciekawy kalendarzyk[1]) znaleźć w nim można wiele cennych uwag i wskazówek, do których warto życie swe przystosować. Przez odpowiednio przygotowane wykresy, pomaga kalendarzyk do kontrolowania użytku czasu w każdym dniu, tygodniu i miesiącu. Ktoby codziennie zechciał zaznaczyć w nim czas pożytecznie spędzony, temu łatwo potem będzie, jednym rzutem okastwierdzić sumę dokonanej pracy, a także ilość straconych godzin. Kontrola, taka pomóc może, do unikania na przyszłość straty czasu, która to strata jest „największem marnotrawstwem bogactw".

Kalendarzyk stwierdza, że rok składa się z 8,760 godzin lub 525,600 minut. Po odliczeniu połowy na odpoczynek i pożywienie, ma każdy z nas rocznie do rozporządzenia 3.380 godzin lub 262.800 minut. Każdemu wypadnie kiedyś, w dniu ostatnim zapytać, w duchu słów modlitwy Kammerraha „O Panie, cóż uczyniłem z sześciuset tysiącami godzin życia, które dałeś mi na świecie, zrodzonym ze słońca"?

Każdy miesiąc w kalendarzyku opatrzony jest sentencją, nad którą warto się zastanowić. Tak np. „Żaden człowiek nie potrafi dobrze wykonać swego zadania, jeśli go przedtem nie umiłuje" (luty). „Tylko praca wydajna prowadzi do dobrobytu" (marzec). „Człowiek bez dyscypliny jest anarchistą — organizacja wówczas zanika, a społeczeństwo staje się tłumem" (wrzesień). „Dajcie nam czas marnotrawiony — podniesiemy dobrobyt ludzkości" (grudzień). Są także na każdy miesiąc zadania, jak np. „Suma czasu straconego w złp" (styczeń). „Bez planu — nie przystępuj do wykonania" (marzec). „Oblicz czas stracony — w procentach" (maj). „Porównywuj wynik z tem co powinno być, a nie z tem co było" (czerwiec). "Nie trać czasu na pracę, którą maszyna może wykonać lepiej" (wrzesień). „Wydajność $= \frac{\text{Wynik użyteczny}}{\text{Nakład pracy}} =$ ....%" (listopad).

Kalendarzyk poświęca wiele uwag zagadnieniu *wartości czasu* — czas pędzi nieubłaganie i sam od nas ucieka — czas stracony przepada bezpowrotnie. Podaje też następujące zasady organizacji:

Zbadaj najpierw co masz uczynić (Analiza) Potem ułóż rozkład twych zajęć (Plan). Wykonaj podług tego rozkładu (Wykonanie). Sprawdź wykonanie z rozkładem (Kontrola).

Nie brak w kalendarzyku mądrych zdań obcych i naszych myślicieli. I tak amerykański Emerson pisze: „Polska miała przeszłość pełną przejść i chwały, jej zagadnienia obecne są niezmiernej wagi. — A jakąż będzie jej przyszłość?... Jak obecnie ma żyć każdy Polak, aby przyszłość Polski była wielka? W jaki sposób każdy Polak użyje danych mu godzin życia? Oto jedno z najważniejszych zagadnień Polski"... Albo jeszcze: „Nigdy dotychczas nie zachodziła tak wielka potrzeba uczciwości, jak obecnie".

Kalendarzyk podaje wykaz czasopism i książek, wydawanych przez Instytut Naukowej Organizacji, a także państw należących do powstałego w 1926 roku, Międzynarodowego Komitetu Naukowej Organizacji — w zakończeniu zaś stwierdza często zapoznawaną prawdę, że „człowiek rzeczywiście praktyczny, to taki, który żyje ideałami i zawsze wierny jest wyznawanym przez się zasadom".

[1]) Nabyć go można w Instytucie, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 66. Cena 35 groszy.

GUSTAW MORCINEK

NASZE RYCINY.

Pomnik św. Stanisława na Skałce w Krakowie.

Było to za panowania Bolesława Śmiałego. Możny rycerz Piotrowin umierając, przekazał testamentem swój majątek Kościołowi. Król nasz miał pewne wątpliwości, co do prawdziwości testamentu i jako najwyższy sędzia w Polsce, wytoczył sprawę o owe ziemie św. Stanisławowi, biskupowi krakowskiemu. Wówczas — według podania — św. Stanisław wskrzesił, za mocą Bożą, Piotrowina, kazał mu wstać z grobu, żeby przed królem świadczył prawdzie.

Na naszym obrazku, na okładce, widzimy

rzeźbę przedstawiającą tę chwilę, gdy św. Stanisław wskrzesza umarłego rycerza. W szatach kapłańskich, w infule na głowie, z pastorałem w ręku, z lekko nachyloną głową, patrzy się na Piotrowina, wstającego u jego stóp z grobu. Zdaje się w tej chwili mówić: „Piotrowinie, mówię tobie w Imię Boże wstań!..“ i dwoma palcami u prawej ręki czyni krzyż nad nim. Wskrzeszony Piotrowin wstaje, podnosi się z grobu a całun śmiertelny opada z niego na ziemię. I tylko czekać, skoro całkiem wynurzy się z mogiły a biskup ujmie go za wyciągnięte ramię i zejdzie z piedestału i poprowadzi przed króla na Wawelski Zamek, widniejący w głębi.

Ktoś pomyśli: „Dobrze, ale tu przecież wcale nie widać grobu... To ów Piotrowin raczej z kamienia wychodzi.“ Słusznie, ale bo też rzeźbiarz tylko w ten sposób mógł nam tę scenę przedstawić. Postać wskrzeszonego widniejąca do połowy, wywołuje w nas wrażenie, niewidocznej głębi z której się podnosi. Rzeźbę tę odmalował nasz malarz Tondos. Obraz ów w oryginale jest malowany akwarelą, czyli farbami wodnemi, jakich używacie w szkole.

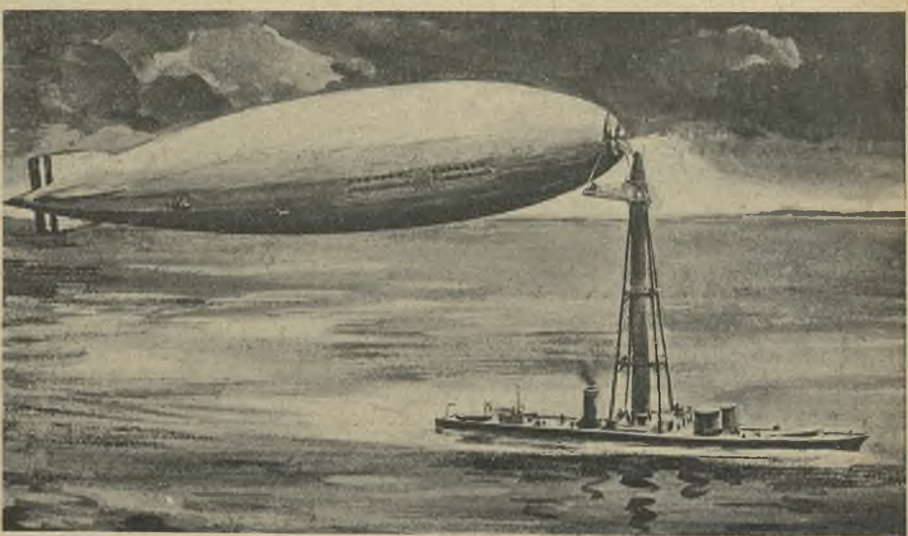
Inż. RYBICKI

O DONIOSŁOŚCI TECHNIKI.

W nowo powstałem Państwie naszem do budowania mamy bardzo wiele, i tylko wielkim, zbiorowym wysiłkiem całego społeczeństwa zdołamy wznieść gmach niezachwiany, zdolny oprzeć się burzom zewnętrznym i wewnętrznym. Budowa: — wyraz ten dziś wszechwładnie zapanował w świecie całym i w dziedzinie mechaniki święci dziś istne triumfy tak, że wiek obecny śmiało nazwać można wiekiem zdobyczy technicznych. Szalony postęp w technice lotniczej czyni z człowieka istnego Ikara przelatującego oceany, góry, lądy na skrzydłach swej maszyny.

Postęp w tym kierunku idzie naprawdę tak szybkim krokiem, że myśl ludzka gubi się poprostu w przewidywaniach co jeszcze zdobędzie wynalazczy umysł ludzki. — Szybkość, codzień zwiększające się tempo życia, ten symbol widomy postępu, jest godłem 20-go stulecia.

Wielki pionier wiedzy i mistrz sztuki jak Leonardo da Vinci pracując nad zagadnieniem lotnictwa szukał boskiej rozkoszy opanowania żywiołu powietrznego i wzniesienia się ponad poziomy. Potrzeba mozolnej pracy szeregu dalszych wieków, by myśl tę genialną wcielić w czyn.



Na to urzeczywistnienie złożyła się świadomość praw rządzących tym powietrznym żywiołem, i głęboka wiedza techniczna na której opiera się lotnictwo. Dziś, po fantastycznych wprost lotach śmiałych żeglarzy powietrznych można z całą pewnością stwierdzić, że lotnictwo, któremu realny początek dały pierwsze próby doświadczalne braci Wrikt'ów w roku 1903, dziś stoi na najwyższym poziomie i w każdą dziedzinę życia społecznego wdziera się zwycięskim, potężnym rozmachem.

A więc popieranie Ligi Obrony Powietrznej Państwa w naszem społeczeństwie jest nietylko wielkim obowiązkiem patrjotycznym każdego obywatela Polski, lecz i koniecznością z którą liczyć się musimy poważnie: nie zamykać oczu na doniosłość tego zagadnienia.

BAŚŃ TATRZAŃSKA O KRÓLU WĘŻÓW.

Ciąg dalszy (3).

Każdy z górali dostaje w dzieciństwie przezwisko, co je zwykle do grobowej deski nosi, więc Jasio, choć od drugich szanowany, także miał swoje.

Że śmiało po skałach nieprzystępnych chodził i w zaciętych bójkach nietylko kułakami, ale i głową uderzał, więc go Capem przezwano. Otóż ten zuch, ten Cap, za Boskiem zrządzeniem od pierwszego spotkania wziął Kasię pod szczególną opiekę i natychmiast zmieniła się jej dola. W domu jak dawniej było źle, łżono ją i przeciążano robotą, ale za to na pastwisku nikt już nie śmiał nietylko jej dokuczać, ale palca na nią zakrzywić.

Dunajec weselej dla sieroty szumiał, lasy i trawy zieleńsze się zrobiły i Kasia przylgnęła do swego obrońcy jak do rodzonej matki. Młodziuchne serce, jak kwiat przed słońcem roztworzyło się przed Jasiem. Niedługo Cap i Kasia była to para nierozdzielna. Dwa lata przeminęły im jak biczem trzasnął i kto wie, ileby jeszcze czasu wszystko szło u nich jednakim trybem, gdyby nie języki złych ludzi, którzy ich ciche szczęście poróżnili. Ale Cap szybko nienawiść ze serca wyrzucił i doczekała się Kasia, że przyszedł do niej, na pastwisko, usiadł milcząc na trawie koło jej nóg i twarz ukrył w dłonie. Pokrzywdzona zapomniała urazy, żal jej się wielki Jasia zrobił, że go ciężki smutek trapi i długo milcząc patrzyła na Jasiową czarną czuprynę i na ogorzałe ręce rozpostarte na twarzy. Nareszcie z pod tych rąk wyszedł serdeczny głos: — Kasiu! — Co Jasiu! — Nie wychodź ty za mąż, choćby cię najbogatszy gazda chciał, ale na mnie poczekaj. — Dobrze Jasiu.

W cztery lata po tej rozmowie w Krościenku odbył się ślub.

Uroczyście przysięga została wymówiona. Obrzęd się skończył i szczęście rozjaśniło męską twarz Jasia, że Kasia jest już jego dogrobowym towarzyszem. Kasia również szczęśliwa, bo nieboszczyka ojca i niebożyczkę matkę w swoim Jasiu znalazła.

Wszystko to bardzo pięknie, powiadacie, ale czy długo będzie tego szczęścia? Komu takie myśli przychodzą do głowy, to widać żadna cyganka wróżyć go nie uczyła. Popatrz ie dobrze Jasiowi w oczy, obejrzcie uważnie tę dłoń szeroką, a zobaczycie, że tacy żelazni ludzie, co tylko zechcą, to zrobią.

Nowo wybudowana chata Capa, czyli jak on nazywał *chyżka,* sama jedna stała wśród lasu wysoko nad Niżnią Szczawicą i nad Miodziusiem, przy źródle, na maleńkiej płaśni, co się usadowiła na wierchu Chyliny pomiędzy dwoma gronikami.

Cap wprowadziwszy Kasię do pustych ścian domostwa, co je z wielkim mozołem zbudował, powiedział żonie tak: — Dzięki Panu Bogu mamy nad głową dach, ale żeby były i łyżki i miski, i wóz, i statek, i chleba kawałek dla nas i dla dzieci, jeżeli podoba się Panu Bogu nam je dać, to musimy moja kobieto okrutnie pracować. — Dobrze Jasiu — powiedziała Kasia, i zakasawszy rękawy, wzięła się zaraz do roboty. Cap napluł w garście, jął się siekiery i bez wytchnienia pracowali przez lat dziesięć.

Chorować nie mieli czasu, miejsce było dobrze obrane, bo rówienka mała, sąsiedzi nie mogli się sadowić, pastwiska dokoła szumne, nowina dosyć żyzna, las tuż, woda jak kryształ; mimo to wszystko po dziesięciu latach strasznie czegoś Jaś zaturbowany. Czyżby go Kasia kochać przestała? Nie przestała, rozmiłowana w Capie, jak pierwszego dnia po ślubie. Czyżby im się nie wiodło? Gdzieby się tam bieda ostała przy takiej pracy i przy takiem gazdowaniu. Są i miski, i łyżki, i wozy, i konie, i bydło, i owce, i kaleta dobrze dudkami wypchana — ale dzieci niema i dlatego Jaś smutny.

Była to właśnie wiosenna pora strzyża owiec, więc Jaś z Kasią, zaprosiwszy kumę z Niżniej do pomocy, strzygli swój drobny statek przez cały dzień. Kuma lubiła i umiała bajki opowiadać, więc przy robocie prawiła je wciąż, dopóki nie odeszła wieczorem i tak głowę im upiorami i wstającemi z grobu nieboszczykami nabiła, że gdy w nocy po parnym dniu nastała ulewa z wichrem i błyskawicami, pierwszy raz w życiu strach ich opanował i nie mogli spać. Około północy coś

mocno zastukało w szybę, a Kruczek przed sienią zawył przeciągle. W Kasi dech zamarł i przycisnęła się do poduszki, a Cap groźnie zawołał: — Kto tam? — Dziad nieszczęśliwy — głuchy głos z za okna odpowiedział. Kasia zapomniawszy w jednej chwili o strachu, zerwała się z łóżka i zaczęła prosić męża: — Otwórz mu, Jasiu, niech biedny starowina na deszczu nie moknie, otwórz mu Jasiu prędzej, ja tymczasem ogień rozpalę.

Cap nim wyszedł do sieni, zbliżył się wprzód ostrożnie do okna i dopiero zobaczywszy przy blasku błyskawicy, że tylko jeden człowiek się czerni, wpuścił go wewnątrz chaty. — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — głuchy głos odezwał się na progu. — Na wieki wieków — odpowiedział Cap i przybysza na ławę zapraszał: — tu siadajcie, ojcze, nim moja ogień rozpali.

Dziad siadł pod oknem, Cap opodal na łóżku, Kasia dmuchała przy kominie.

— Skąd wy, ojcze? — pyta gospodarz. — Z daleka — mówi przybyły. — Przecież skąd? — Idę z lasu.



Macie, weźcie tę perłę, zmówcie razem z żoną Anioł Pański i niech kobieta ją połknie, a dzieci Pan Jezus da.

Ogień buchnął na kominie; Cap ciekawie spojrzał na cudzego człowieka i aż mrowie po nim przeszło. Był ubrany po góralsku, ale twarz miał żółtą jak wosk, oczy jak szklane i sine palce jak u nieboszczyka. Skoro się widno w izbie zrobiło, przychodni góral zakrył dłonią oczy, łokieć wsparł na kolanie i zaczął cicho jęczeć. — Co wam takiego, ojcze? — troskliwie pytała, podbiegłszy do niego Kasia.

Przybyły nic nie odpowiedział, tylko coraz smutniej jęczał, że aż Kasi łzy się w oczach zakręciły i jedna spadła na sine ręce górala.

— Co wam takiego? — Chory jestem bardzo — z cicha zaszeptał. — Zrzućcie, ojcze, przemokłe odzienie, układźcie się w mojej pościeli, ja wam tymczasem zwarzę co ciepłego, to Bóg da, że wam zaraz lżej będzie? Co wam to tak dolega?

— Lata dolegają. Nie układę się i jeść nic nie będę, ale Bóg ci zapłać stokrotnie za dobre serce. Czy z Niżniej jesteś rodem, miłosierna kobieto? — Nie, ojcze, z Miodziusia. — A jak się nazywasz? Kasia

Jasiowa. No, ojcze, zrzućcie tę guńkę przemokłą, układźcie się w pościeli. — Nie mogę. A jak się twój rodzic nazywał? — Stach, a przezywali go Jazowiakiem, bo mój dziad z Jazowska na Miodziuś przyszedł. — A mówisz ty czasem pacierz za duszę rodziców? Mówię codzień. — Kobieto miłosierna, zmówże ty czasem i za swego dziada pacierz. — Dobrze, ojcze, ale mnie słuchajcie, boście aż pożółkli z niewywczasu, zróbcie mi tę łaskę i pozwólcie sobie posłużyć. — Nie mogę. A macie wy gazdo pszczoły? — Nie mam. Co mi tam po miodzie, nie mam dzieci, żeby go jadły. To nie wasze te, co śpią? Przecież są sposoby uprosić Pana Boga o dzieci. Oj, czemu wy pszczół nie trzymacie, tu wiodłyby się u was, dobre miejsce, zaciszne, pożytki bliskie. A na Miodziusiu dużo pszczół?

— Niewiele. A jakież to są sposoby, żeby uprosić Pana Boga o dzieci? — Przychodni góral spojrzał w okno; ulewa ustała, zaczynało się wypogadzać, zerwał się co tchu z ławy i zawołał: — Muszę iść czem prędzej. Nie znacie się, widzę, na pszczołach. Szkoda gazdo, że się w pszczołach nie kochacie. Bądźcie zdrowi. Muszę już iść, ale kiedy tak dzieci pożądacie, to ja wam poradzę, co robić. Macie, weźcie tę perłę, zmówcie razem z żoną Anioł Pański i niech kobieta ją połknie, a dzieci Pan Jezus da. Bądźcie zdrowi. Pokój temu miłosiernemu domowi. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!



...okrutny srebrny padalec zaczyna łeb ponad Tatry ku górze dźwigać, przypatrując się zawzięcie guńce Ożoga.

Nim Cap z żoną podążyli prosić górala, żeby został, już znikł za drzwiami, tylko wielka perła w ręku zdumionego gazdy pozostała.

Jaś tak gorąco pragnął mieć dzieci, zresztą przychodni góral i wchodząc i wychodząc pochwalił Pana Boga, więc Kasia odmówiwszy z mężem Anioł Pański połknęła perłę.

Przeszło lato, przeszła jesień, aż oto w końcu zimy w chacie Capa kołyska się zjawiła. Kasia powiła syna, którego zaraz po urodzeniu ludzie przezwali Perłowicem. Po sutych parodniowych chrzcinach, gdy się goście rozeszli, Cap powiedział żonie tak: — Moja kobieto, zaznaliśmy biedy w dzieciństwie, niech nasze dziecko przez całe

życie jej nie zna, pracujmy jeszcze. — Dobrze, Jasiu — powiedziała Kasia i znowu zakasawszy rękawy wzięła się do roboty. Perłowic z dziecka od piersi wyrósł na chodaczka śmiałego jak ojciec, serdecznego jak matka i pasał rodzicielskie owce pod Bystrzykiem.

A w owych czasach, gdy się dziesięć lat skończyło Perłowicowi, wielkie nieszczęście spotkało wszystkie siedem wsi położonych na Szczawnickiej dolinie. Jeden zuchwały chodak, co go Ożogiem przezywano, pasając za Dunajcem statek, umyślił przekonać się, czy to też prawda, co ludzie powiadają, że król wężów czołga się po tatrzańskich turniach. Co umyślił, to zrobił i po zachodzie słońca wszedł po uboczy na wierzch pieńskiej skały Grabczychy i dawajże się najspokojniej Tatrom przyglądać. Ujrzał na niebie wielki kamienny tron, tu i owdzie zrysowany i spękany. Lśniło się srebro, iskrzyły diamenty, ale żadnego węża nie było. Zmyślają ludzie — myślał Ożóg, a wtem coś białego zaczyna się ruszać na tatrzańskich wierchach. Głupi chłopak myślał, że to obłoki i przygłądał się jeszcze, aż tu białe ruszające sie szmatki zlepiły się razem i powoli okrutny srebrny padalec zaczyna łeb ponad Tatry ku górze dźwigać, przypatrując się zawzięcie guńce Ożoga.

C. d. n.

SEWERYN UDZIELA

W NIEDZIELĘ KWIETNIĄ.

Ciąg dalszy (2).

Matka nie nalegała bardzo na chłopca; niech się nacieszy swemi dziecinnemi pomysłami, bo ani na chwilę nie przypuszczała, aby z tego coś było, co Staś myślał. Ot, dziecinne marzenia.

Ale Staś od dni kilku myślał bardzo poważnie o zdobyciu pieniędzy. Niedawno był u swego kolegi Ziuziulika i tam słyszał, jak babka opowiadała, że za wsią pod brzezinką niedaleko zamczyska są ukryte wielkie pieniądze, całe kupy srebrnych talarów i złotych dukatów, ale nikt ich znaleźć nie może, bo je djabeł przysiadł. Tylko w Niedzielę Kwietnią przed samą Wielkanocą każdy djabeł musi słuchać w kościele ewangelji o Męce Pańskiej i wtedy skarby stoją otwarte. Gdyby wtedy kto natrafił na ten otwór, to mógłby nabrać złota i srebra ile by chciał ile tylko mógłby unieść. Raz nawet zdarzyło się, że szła tamtędy kobieta z dzieckiem na ręku, natrafiła na jamę w ziemi, a gdy tam spojrzała, zobaczyła całe kupy złota i srebra. Uradowana weszła do jamy, posadziła dziecko na pieniądzach i dała mu jabłko, aby się bawiło, a ona tymczasem czemprędzej brała dukaty i talary do fartucha i za pazuchę, a spieszyła się by nabrać jak najwięcej. Och, byłaby tego miała dosyć do śmierci, gdyby była prędko porwała dziecko i uciekała do domu. Ale pokusa była większa niż rozsądek. Żal jej było okazji takich skarbów, chciała jeszcze nabrać więcej, a że od razu więcej zabrać nie mogła, zostawiła dziecko bawiące się jabłkiem, a sama pobiegła z pieniędzmi do domu, bo to było niedaleko. Pieniądze wysypała do skrzynki i w okamgnieniu była już z powrotem, ale... spóźniła się. Ksiądz w kościele skończył czytać ewangelję, djabeł powrócił i zasiadł na skarbach, jama się zawarła a w niej zostało dziecko. Kobieta rozgorączkowana biegała tam i sam lecz do jamy nie mogła trafić, nie mogła nawet znaleźć śladu gdzie ona była. O mało nie oszalała z rozpaczy za straconem dzieckiem. Dopiero na drugą Niedzielę Kwietnią, gdy pobiegła znowu pod brzezinkę niedaleko zamczyska, natrafiła na otwartą jamę i w niej zobaczyła dziecko swoje, siedzące na kopcu pieniędzy i bawiące się jabłkiem, tak, jak je zostawiła przed rokiem. Uradowana porwała dziecko, ale pieniędzy nie tknęła już więcej.

Opowiadanie rozgorączkowało chłopca. Skarby łatwe do zdobycia marnie leżące w ziemi, a tak nam potrzebne. Żeby to chociaż garstkę dukatów pochwycić, jużby mamie wystarczyło i na trzewiki dla mnie i dla Zosi i na sukienki dla niej, na ubranie dla matusi, bo też w starem i bardzo lichem chodzi. A jakie wesołe święta byłyby w domu! Myśl zdobycia pieniędzy w Niedzielę Kwietnią tak go zajęła, że przeszkadzała mu w nauce, we śnie niepokoiła go często. Wypytywał kolegów, czy który nie wie czegoś o zaczarowanych

skarbach i dziwił się bardzo, że słyszał teraz wiele takich rzeczy, o których dotąd nic nie wiedział. Zastanawiał się tylko dlaczego kochana mateczka nigdy nic o tem nie mówiła.

Nie mógł wytrzymać, zwierzył się ze swemi projektami Ziuziulikowi. Był to jego serdeczny przyjaciel, siedzieli obok siebie na jednej ławce, obaj uczyli się bardzo dobrze.

— Wiesz co Jasiu — mówił — gdyby tak iść szukać tych skarbów, o których babka kiedyś opowiadała? Przecież nie zrobilibyśmy krzywdy nikomu. Djabłu nic po tych pieniądzach, a musi ich pilnować i siedzieć na nich rok cały. Chyba i jemu przykrzy się tam wiecznie na jednem miejscu przebywać bezczynnie. Może i on byłby zadowolony, gdyby ktoś sprzątnął te skarby i zwolnił go z takiej bezpożytecznej straży? Jak ty myślisz?

Ziuziulik zdziwił się bardzo tą mową Stasia, pomyślał chwilkę i odezwał się:

— Dobrzeby to było, mój Stasiu, żeby można podejść tego potępieńca i przynieść do domu trochę pieniędzy, bo to i u nas nie przewala się i moja mama ucieszyłaby się. Ale to przecież straszne z djabłem zaczynać.

— Nie słyszałeś to, co mówią, że *nie taki czarny jak go malują?* A Frycek opowiadał mi nawet, że jednemu chłopcu sam djabeł dał czapkę pieniędzy.

— Co mówisz? Jakże to było?

— Dnia jednego paśli chłopcy krowy na pastwisku, zabawiali się przytem figlowali, a nieraz jeden drugiemu dobrze dokuczył z rozpusty. A był między nimi biedny chłopczyna syn wdowy, który usuwał się na bok, skoro się tylko towarzysze rozbrykali, bo jakiś był słabowity i pewnie zawsze głodny. Były tam niedaleko jakieś mury stare, jakieś zwaliska, może z zamku jakiego, może z klasztoru — nikt nie wiedział z czego — a obok dziura głęboka, niby do piwnicy wejście, niby studnia zrujnowana. Mówili, że tam siedzi djabeł na pieniądzach, to też ze strachem zbliżał się do niej każdy, a choć który śmielszy zaglądnął, to i tak nic nie zobaczył, bo otwór był głęboki. Raz pastuchy zdarły z głowy czapkę temu biednemu i wśród śmiechu wrzuciły do dziury. Biedak zaczął płakać, bo to była jego jedyna czapczyna, a matkę nie stać było sprawić mu nową. Pastuchy rozbiegły się zaraz na wszystkie strony, a ten biedak chodził wokoło otworu, płakał i narzekał: „Moja czapka, moja czapka!“ Djabeł posłyszał, ulitował się nad biedakiem, nasypał do czapki pieniędzy i wyrzucił mu ją pełną dukatów.

— To ładnie zrobił, ale nużby inaczej z nami postąpił. c. d. n.

KAROL IRZYKOWSKI

O KINIE.

Patrzysz na otaczające cię przedmioty i zdarzenia, ale czy je widzisz? Bo widzieć to nie to samo co spostrzegać, patrzyć i zauważyć.

Wszedłeś w piękną dolinę górską, ale ci właśnie spieszno do pociągu, więc radbyś tylko wiedzieć, jak się dolina nazywa, aby ją znaleźć na mapie i zbadać czy daleko od stacji, rozglądasz się czy droga łatwa, czy słońce już nie zachodzi, czy wóz drogą nie jedzie, żeby cię zabrał. Pełne praktycznego interesu jest twoje patrzenie. Dopiero gdy się przekonasz, że za późno, że tego czasu, którego dopiero co miałeś za mało, teraz masz do syta, wtedy zaczynasz patrzeć inaczej, patrzeć bezinteresownie i widzisz. Dolina objawia ci swoją piękność. Strumyk, któregoś nie dojrzał, zaczyna szemrzeć. Zajmie cię szczególnie jakaś grupa sosen nadskalnych albo limba samotna. Zapragniesz jakby oderwać coś od tej doliny, nie uszkadzając jej, i zabrać z sobą — jej serce. Za parę dni może zobaczysz niespodziewanie to właśnie, o co ci chodzi — w obrazie. Obraz, sztuka! Teraz rozumiesz ich myśl. Stały ci się potrzebne. Masz przed sobą serce przedmiotu. Już tylko widzisz.

Otóż tem samem, czem jest malarstwo dla przedmiotów stałych, to znaczy uchwyconych w jednej chwili — jest kino dla zdarzeń rozwijających się w czasie. Ono daje *widzialność zdarzenia.*

Słowo „widzialność“ wyda ci się zrazu obcem i niezrozumiałem, bo właśnie niby rozumiejącem się samo przez się,

a jednak w niem właśnie leży cała tajemnica.

Powoli przyjmiesz je za swoje, napełnisz je własną treścią — i tylko o tyle, o ile je napełnisz swoją treścią, wnikniesz w istotę kina. W wypadkach, które rozgrywają się naokoło ciebie, będziesz rozróżniał ich stronę polityczną, społeczną, ekonomiczną, literacką, malarską i kinową. Wzbogacisz się jakby o nowy zmysł.

Ale które zdarzenia zawierają w sobie najwięcej tego, coby mogło zaspokoić nasz zmysł kinowy, nasze pragnienie, aby „napaść“ wzrok? Przypomnijmy sobie z kina nie sztuki te lub owe, lecz momenty, w których to nasza żądza widzenia budziła się najsilniej i zaspakajała najobficiej.

Takim momentem był np. ten, gdy na ekranie pojawia się okręt i dzieje bohaterów sztuki na nim się rozgrywają. Okręt obiecuje nam — i dotrzymuje mnóstwa niezwykłych wrażeń. Jest to przedmiot pełen różnych maszyn, urządzeń i zakątków: żagle, kominy, kotły, pokłady, kotwice, łodzie, kajuty i t. p., cały ten świat wytworzony i ujawniony przez człowieka może jednak niekiedy zawieść go i obrócić się przeciw niemu. Żagle może złamać burza, kocioł może wybuchnąć, kajuty może zalać woda, wdzierająca się szparą od spodu.

Widok majtków uwijających się wśród siatek żagli i rejów należy do najpiękniejszych w kinie. Tak samo burza morska, obrona człowieka przed żywiołem, ratunek lub klęska. Okręt zanurza się w odmętach, przechyla, tonie, tworzy się wir, gdzieś daleko płyną łodzie z rozbitkami, niektórzy ratują się w pasach ratunkowych. Niczego nie trzeba tu objaśniać, napisów i rozmówek może nie być, wszystko się widzi.

Okręt nazywa się w języku kinowym *przedmiotem fotogenicznym,* to znaczy takim, dzięki któremu możemy otrzymać bardzo dużą sumę energicznych wrażeń wzrokowych.

Takim samym przedmiotem jest np. kopalnia, kolej, aeroplan, balon, ruiny, latarnia morska, morze samo, skały... Widzimy, że wogóle pewne skupienia materji sprzyjają rozwijaniu się silnych scen kinowych czyli „fotogenji“. Patrzmy na pracę kowala w kuźni — to jest przecież szczyt kina. Człowiek, który tonie i dobywa wszystkich sił, aby dopłynąć do brzegu. Albo człowiek, który ścina drzewo w lesie.

Walka człowieka z przyrodą, wogóle z materją może być główną treścią kina. Kino mogłoby być świadkiem tej walki, wiernie odtwarzać jej szczegóły, albo twórczą nadzieją wybiegać w przyszłość i pokazywać nam to, co człowiek kiedyś zrobi, jakim będzie zwycięzcą. Dlatego dla ludzi pracy kino może mieć wielkie znaczenie.

Lecz materja nietylko opornie zachowuje się względem człowieka, żyje z nim także w przyjaźni. Ta sama woda, która go zatapia, kiedyindziej jest mu tylko kąpielą. Ileż wesołych scen na ekranie widzieliśmy, w których ludzie chlapią się wodą. Także chmury rozsypującej się mąki, rozsypującego się pierza, często rozśmieszały nas w kinie.

Musimy więc powiedzieć, że kino oddaje nietylko walkę z materją, lecz wogóle *wszelkie obcowanie człowieka z materją.* Jestto bardzo często obcowanie takie, którego dotychczas nie zauważyliśmy. Siedzimy niespokojnie na krześle, wywijamy laską, opieramy się o jakiś przedmiot poprawiamy na sobie ubranie, lecz zajęci rozmową, książką, pracą, myślami nie zauważamy tego, co się dzieje z naszem ciałem. Ale zato kinematograf, który jest głuchy i niemy, podpatruje nas i w obrazie opowiada nam o tem, o czem zapominamy. Że nie jesteśmy tylko duchem, lecz także ciałem, że tkwimy korzeniami w materji, na każdym kroku od niej zależni; słowem że „materjalizm dziejowy“ napełnia każdą chwilę naszego istnienia, wzywając nas do czynu, do pracy, do twórczości, do wyzwolenia.

Kino dotychczasowe jest właściwie jeszcze tylko popularnym teatrem, pokazuje nam ciekawe *historje,* bawi i rozśmiesza i tylko niekiedy, w szczęśliwych błyskach natchnienia reżyserskiego, przynosi nam sceny, które stawiają nam żywo przed oczy nasze pożycie z materją, jak np. owe sceny na okręcie, witane mimowoli zaparciem oddechu przez zdumionych widzów.

(Szersze rozwinięcie tych myśli o kinie można znaleźć w mojej książce p. t. „Dziesiąta Muza“.

KORNEL MAKUSZYŃSKI

MÓJ PIERWSZY WIERSZ.

Ciąg dalszy (4).

Przechodząc w niedzielę koło redakcji „Słowa Polskiego“ — zatoczyłem się, jak pijany. U wejścia do redakcji wywieszono numer gazety. Boże Jedyny! Na pierwszem miejscu w dodatku literackim jaśnieje, błyszczy się, krzyczy, wrzeszczy na cały świat mój wiersz, moje dwa sonety. Jan Kasprowicz kazał je wydrukować.

Świat się ze mną zakręcił. Chciałem krzyczeć i śpiewać z radości, chciałem ściskać każdego przechodnia, każdemu powiedzieć: „Panie! To moje wiersze!“

Chwilę tę pamiętać będę zawsze i zawsze ją sobie na pamięć przywodzę i to słodkie wspomnienie wydobywane z serca, ile razy dziś do mojego gabinetu w redakcji, szurgając mocno nogami wchodzi pół żywy ze strachu i z emocji młody chłopak, rumieniejący się, jak panna, i podaje mi zwitek papieru — wiersze. Śmiało, śmiało, młody, kochany chłopcze! Ja znam te wzruszenia, ja ci powiem sumiennie, czy co siedzi w twych wierszach...

Proszę sobie teraz wyobrazić, co się nazajutrz działo w gimnazjum. W ulu niema nigdy takiego poruszenia.

Smarkacze obchodzili mnie zdaleka, z niemym podziwem w błyszczących oczach. Stałem się dumą całego gimnazjum.

Wisiała jednak nade mną chmura. Austrjackie przepisy szkolne groziły srogą karą za druk bez pozwolenia dyrekcji. Nigdy jednak nie było o tem mowy, bo nikt nie drukował ze sztubaków.

Za chwilę wołają mnie do dyrektora. Au! Siwy człowiek patrzy na mnie długo, a pode mną trzęsą się nogi. Patrzę nieśmiało w chmurę jego oblicza... Co to jest? Ten człowiek się do mnie uśmiecha... Pogładził mnie po głowie i powiada:

— Niech ci Bóg dopomada, drogi chłopcze... Ale pamiętaj, że nie wolno!... Już nie będziesz?

— Będę, panie dyrektorze!

— No to dobrze!

Tak uczciwy Polak ukarał młodego wierszokletę.

Po tej audjencji zrobiliśmy sobie z moim profesorem literatury porozumiewawcze „oko“, jak dwaj wspólnicy literackiej zbrodni.

Nieprzyjemna zabawa zaczęła się jednak dopiero później. Piszę ja do Kasprowicza list, którego każde słowo było promieniem słońca i nieśmiało zapytuję w przypisku, czy mi gazeta czasem cokolwiek jeszcze wydrukuje?

Nazajutrz czytam w rubryce „Odpowiedzi Redakcji“... Najchętniej. Proszę się zgłosić po odbiór honorarjum“.

„Honorarjum“? Co to jest?! Boże drogi. To jakieś dziwne ludzie w tej gazecie; robią smarkaczowi przyjemność niebotyczną i chcą jeszcze za to płacić.

Robię tedy naradę z kolegami.

— Musisz iść! — powiadają.

— Boję się! — mówię ja.

— Nie bój się, warjat! Kasprowicz to podobno byczy chłop! — Powiadają oni.

Wobec takiej informacji rozpoczynam przygotowania. Dziurę w bucie zaszyłem białą nitką i posmarowałem atramentem. Mydłem i szczotką wyczyściłem mundurek, który mógł służyć za lustro i u fryzjera w małem mieście.

Na kołnierzu dwa złote paski, (szósta klasa) cokolwiek wyrudziałe, jednak dodają splendoru.

Plunąłem w dłoń i misternie przygładziłem czupryne. Poszedłem z wizytą do Jana Kasprowicza. Odprowadziło mnie szesnastu zaufanych kolegów i czekali cierpliwie na ulicy.

Moje biedne, głupie serce tłukło się w piersi, jak oszalałe. Byłem blady, jak skruszały nieboszczyk.

Ze strachem pytam cerbera:

— Pan Kasprowicz jest?

— A jak jest, to co?

— Chciałem się zobaczyć...

— A kawaler z listem?

Nie! — mówię grzecznie, — ale pan Kasprowicz kazał mi przyjść.

— To wal pan w te drzwi.

C. d. n

ROZRYWKI

Wszelki kłopot i bieda nato dane, żeby je zwyciężyć. Uciec — na nic się nie przyda; jestto to samo, co broń złożywszy — emigrować.

A. Mickiewicz.

KONKURS NA WYTRWAŁOŚĆ
№ 4.

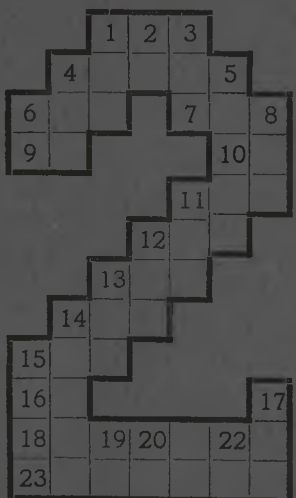
ZAGADKA MATEMATYCZNA

(za rozwiązanie 2 punkty.)
nadesłał Ster.

Napisać liczbę 1000 cyframi, jednak bez użycia zer i jedynki.

KRZYŻÓWKA

uł. Albina Badurzanka
(za rozwiązanie 5 punktów).



Znaczenie wyrazów pionowo:

1. kogut, 2. rodzaj gliny, 3. mieszkanie pierwszych ludzi, 4. rodzaj głosu, 5. miasto na Węgrzech, 6. zaimek osobowy, 7, drzewo, 10. ogród owocowy, 12. roślina, 13. miara, 14. leżak z plecionki, 15. miejsce rozrywki, 17. pseudonim powieściopisarza polskiego, 19. przyimek, 20. miara pola.

Znaczenie wyrazów poziomo:

1. żałoba, 4. rodzaj szabli, 6. wąwóz, 7. mąż biblijny znany z wielkiej cierpliwości, 9. karta, 10. spójnik, 11. potrzebny rybakowi, 12. miesiąc, 13 porządek, 14. ogromny hałas, 15. oprawca, 16. zaimek, 18. miasto w Ziemi Świętej, 23. gliniany instrument muzyczny, dęty, w rodzaju fletu, kształtem przypomina tułów ptaka.

ŁAMIGŁÓWKA ARYTMETYCZNA

(za rozwiązanie 4 punkty).
ułożył Wł. Smalski

W podanym kwadracie liczby od 1-16 poprzestawiać tak, ażeby w rzędach poziomych i pionowych i na przekątniach suma wynosiła 34.

1	2	3	4
5	6	7	8
9	10	11	12
13	14	15	16

OKIENKO

(za rozwiązanie 3 punkty.)
ułożył Junosza.



Kwadraty zastąpić literami, które czytane w kierunku oznaczonym liczbami utworzą znane przysłowie. Ażeby łatwiej było Wam rozwiązać, niektóre litery początkowe podajemy.

Należytość pocztową opłacono ryczałtem.

FACECJE Z DAWNEJ POLSKI.

FILOZOF A BŁAZEN.

Jechali na jednym statku filozof i błazen. Nastaje burza, ciemności wszystko pochłonęły. Statek raz w przepaść ziejących wód się zagłębia, raz tuż chmur niebiańskich tyka szalonym wichrem poderwany.

Wzdycha a trwoży się filozof, medytując nad śmiercią.

A błazen strachu nie okazuje wcale, owszem szaloną wesołością, skoki wyprawiając kuglarskie i głos strojąc cudacznie i trzęsie się od śmiechu.

Wreszcie ustaje burza, uspakaja się niebo; winszują sobie wszyscy, a błazen wsiada na filozofa:

„Hej!, powiada, masko, filozoficzna, szatę mędrca ośmielasz się nosić, gdy niema w tobie i cienia mądrości!

Mędrcem bowiem ten, na którego żaden afekt nie pada, ni smutek ni obawa, w tobie zaś serce bezkrwiste smutek wysysa, strach zajmuje! Odemnie uczyć ci się mądrości, na którego w śmiertelnej trwodze żadna nie padła obawa!“

A filozof:

„Dawno już twoje błazeństwo z tobą się rozbiło, dawno już pochłonął cię wieloryb bezdennej głupoty. Stracony — nie mogłeś się o to obawiać, co już stracone, nie potrzebował błazen bać się o błazeńskie życie, ale ja — jam bał się o żywot filozofa“.

Wybrał prof. T. Tyc

TREŚĆ NUMERU 4-GO Z DNIA 1-GO MAJA 1927 R.

Pismem kieruje: Komitet redakcyjny pod przewodnictwem **D-ra Ignacego Chrzanowskiego** Prof. Uniw. Jagiell.
Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ulica Wandy L. 41. Wydawca: **P. Stasiak.**
Redaktor odpowiedzialny: **Mieczysław Gładysz,** Katowice, ulica Wandy 41.
Przedstawicielstwa: **Warszawa,** Krakowskie Przedmieście 1, **Jerzy Karbowski.**
Wilno, Benedyktyńska 2 — 3. Skład Główny na Wilno i Wileńszczyznę księgarnia C. Zarządu P. M. Sz. Z. W. **Zakopane,** Nowotarska 104.
Warunki prenumeraty „Orląt“ z przesyłką pocztową: — kwartalnie 1.50 zł., — półrocznie 2.80 zł., — rocznie 5 zł.
Numer pojedyńczy 25 gr. Zagranicą rocznie 2 dolary. Konto w P. K. O. 303 600.
Prenumerata „Orląt“ i „Orlątek“ razem: kwartalnie 2 zł. — półrocznie 3.70 zł. — rocznie 7 zł.
Ogłoszenia: za wiersz wysokości 1 mm., szerokości 1 szpalty 40 gr. Kolumna posiada 2 szpalty.
Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach.

Drukarnia i Introligatornia L. Martynkowski i L. Nowak w Sosnowcu.